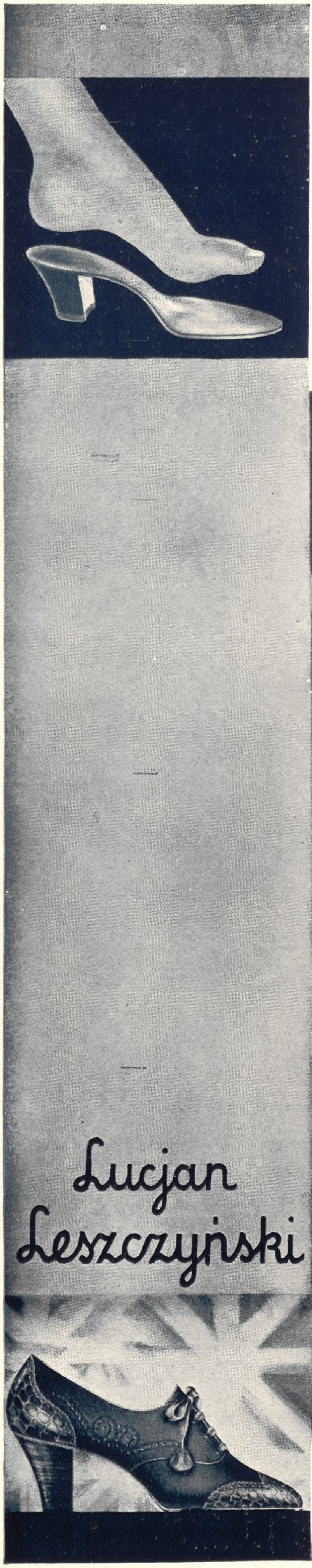
TEATR i ŻYCIE WYTWORNE



NR. 4 KWIECIEŃ – 1932 CENA ZŁ. 1.50



NOBLESSE OBLIGE

Niema ładnych kobiet bez ładnych nóżek. Niema ładnych nóżek bez ładnych pantofelków.

Brzydkie, niezgrabne stopy mogą zeszpecić najurodziwszą niewiastę.

Brzydkie, niezgrabne, źle dopasowane obuwie — deformuje najpiękniejsze stopki.

Pantofelek zaciasny jest niebezpiecznym wrogiem, mogącym zatruć najszczęśliwsze chwile.

Pantofelek wygodny jest wiernym przyjacielem, którego się zazwyczaj, jak wszystkich wiernych przyjaciół — nie docenia.

Pantofelek piękny jest ozdobą nie mniej cenną, niż klejnoty, a o wiele potrzebniejszą.

Każdy pantofelek ma swój wyraz charakterystyczny, sobie tylko właściwy.

Moljerki o modnie spiczastych noskach, reniferowe, czarne opowiadają o ich właścicielce, że dba o swój wygląd, że się liczy z modą, lecz że unika zbyt jaskrawych, opatrujących się zestawień, albo może, poprostu, nie stać jej na częstą odmianę.

Wreszcie „klejnoty nożne", cacka inkrustowane jasną skórką, nacinane misternie, wyzłacane na kantach, przeplatane skórkami egzotycznych węży i jaszczurek, ażurowe, sznurowane bez widocznej potrzeby, umieszczone na cienkich jak talja, czy obcasikach-szczudełkach, dobierane z pieczołowitą troskliwością do szczegółów i szczególików tualety — to oznaka niezawodna wybranki losu, jednej z tych, których jedyną życiową troską i pracą jest dbanie o własną urodę i jej uwydatnienie, czyli osoby bardzo zamożnej. Zamożność, coprawda, nie wyklucza kłopotów sercowych.

Ale, proszę państwa, czy to aby są naprawdę kłopoty. Oby się tylko nigdy nie miało większych.

Grunt niczem się nie przejmować i nosić wygodne obuwie — powiedział pewien anonimowy mędrzec.



LUCJAN LESZCZYŃSKI

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 34.

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

ROK VI — CZASOPISMO ILUSTROWANE — Nr. 4 – Kwiecień 1932



TREŚĆ NUMERU:





POCZĄTEK SEZONU — *Fot. M. G. M.*

SOIR DE PARIS



BOURJOIS
PARIS

Generalne Przedstawicielstwo: D/H JÓZEF HOSIASSON, Warszawa, Trębacka 4

Teatr i Życie Wytworne.

ROK VI CZASOPISMO ILUSTROWANE Nr. 4 — Kwiecień 1932

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, BEREZYŃSKA Nr. 20.



POZA

Fot. M. G. M.

ST. W=ICZ

FELJETON WIOSENNY

Prawie niepodobna było napisać tego feljetonu, który miał być o wiośnie i świętach wielkanocnych.

W pokoju ziąb, bo okna myto i co zatem idzie — pozbawiono zimowego opatrzenia. Wkładam rękawice motocyklowe i sweter narciarski, na głowę zaś — hełm lotniczy. I tak — zabezpieczony — piszę nareszcie o wiośnie, która podobno nadchodzi, bo, po pierwsze, zrównanie dnia z nocą już nastąpiło, a — po drugie — bociany z jaskółkami nadleciały. Miałem o tem meldunek od panien warszawskich.

Właściwie zamierzałem skrobnąć tych kilkadziesiąt wierszy już w Wielki Czwartek. Ale w czwartek nie mogłem mieć jeszcze żadnych wiadomości o świętach. W piątek sytuacja wyjaśniła się nieco z powodu tradycyjnej rybki. Przeczekawszy sobotę — miałem już cały wiosenno=świąteczny materjał w głowie, ale zgubił mnie bridge w pierwszym dniu świąt (52 robry, w tem trzy licytowane szlemiki i jeden przypadkowy wielki szlem). Zakończyłem ten dzień wspaniałą zabawą w gronie rozweselonych mieszkańców stolicy, którzy nad ranem dobijali się do Adrji i pomstowali, że jest zamknięta. Czynili to oczywiście bezwiednie.



Skromne — ładne



W poniedziałek zaś już od rana feljeton miał być pisany. Ale przeszkodził temu pewien przemiły reżyser teatralny, który najpierw opowiedział mi o wszystkich swoich niedoszłych romansach, a potem badał czy moja żubrówka jest dostatecznie zielona w smaku. W ten sposób minęło pół dnia — i trzeba było wyjść na mróz — na ulicę — chciałem powiedzieć...

* * *

Wyszliśmy zatem. Na Nowym Świecie wszystkie nosy czerwone, na Krakowskiem sine, na Marszałkowskiej fijołkowe. Z zimna zapewne! Tej i owej pani delikatne barwne piórka sztywno zamarzły na kapeluszu, tu i owdzie leży prawie na śmierć zamarznięty dojrzały Polak. Okropność! «No i klimat! Z karabinem trzeba chodzić nawet za stodołę» — jak słusznie skarżył się pewien moskal podczas wojny rosyjsko=japońskiej w Mandżurji.

Zdecydowaliśmy z moim reżyserem, że trzeba poprostu zmienić nazwy miesięcy,

a wszystko będzie dobrze. Niechby marzec nazywał się mroźny, kwiecień — lodowy, maj — szronowy, czerwiec — chłodny, lipiec — zimny, sierpień — drżący, wrzesień — przedśnieżny, październik — biegunowy, listopad — grenland! Grudzień, styczeń i luty mogłyby nazywać się po staremu. W ten sposób raz na zawsze minęłyby nam różne wiosenne i letnie złudzenia.

* * *

Najpiękniejsza partja bridge'a zdarzyła się w drugim dniu świąt. Zasiedli do niej pan doktór Indykojad, pan radca Szynkożerca i pan mecenas Wszystkołykacz. Są to jak wiadomo słynni na cały świat mistrze gry w bridge'a. A że brakowało im partnera, bo pan redaktor Popijawa jakoś nie dopisał, więc zaprosili «na czwartego» pannę de Babko-Mazurkiewiczównę.



Panna Mazurkiewiczówna grała przez pięć minut dość poprawnie, ale potem straciła kontenans i pewność, a jej partnerzy — dobry humor. I tak się wreszcie zdarzyło fatalnie, że nagle panna Mazurkiewiczówna wyszła w dwójkę karo z pod króla, podczas gdy jej partner, pan doktór Indykojad — zapowiadał na pierwszem ręku piki.

Tego nie byli w stanie już wytrzymać ani pan mecenas Wszystkołykacz, ani pan radca Szynkożerca: zerwali się oni z miejsc, przewrócili swoje krzesła, trzasnęli drzwiami — i dopiero gdzieś w trzecim pokoju zaczęli kląć brzydkiemi słowami. Panna de Babko-Mazurkiewicz zalała się łzami z powodu despektu, który ją spotkał i powiedziała do doktora Indykojada:



P. Inżynierowa Lena Płuszczewska z córeczką Mysią

— Panie doktorze, pan jeden mnie obraża, pan jeden jest dla mnie dobry i grzeczny ...niechże pan powie — w co ja miałam wyjść? W co?

Na to pan doktór, ochłonąwszy z ogromnego osłupienia i częściowego paraliżu mowy — pochyliwszy się złowrogo do partnerki — rzekł dobitnie — choć szeptem:

— W piki — cholero! — w piki...

* * *

Tymczasem pan redaktor Popijawa grał gdzieindziej, a mianowicie w partji, w któ-



Cały high life Krakowa i okolic był obecny na doniosłej uroczystości udekorowania wysokim orderem włoskim p. Prezesa Krak. Klubu Autom. hr. Antoniego Potockiego

rej byli: pan Jajewicz, jego druga żona pani Jajewiczowa, jego pierwsza żona pani Kiełbasińska, pierwszy mąż jego drugiej żony pan Chrzan-Musztardowicz, trzecia żona pierwszego męża jego drugiej żony — pani Chrzan-Musztardowiczowa, oraz drugi mąż tej ostatniej, a pierwszy — obecnej pani Jajewiczowej — pan pułkownik Prosinkiewicz. W partji tej, jak widzimy — z dwoma wychodzącymi, zdarzyło się, że pan redaktor Popijawa miał w ręku 11 trefli i — nagle — spotkał się z 3-cią damą treflową u pułkownika Prosinkiewicza. W wyniku nieporozumienia i ostrych wzajemnych wymówek pan redaktor Popijawa zarzucił pułkownikowi nieścisłość, a pan pułkownik uniesiony dobrym Martelem, trzepnął swemi treflami w policzek redaktora Popijawy.

Wtedy ten ostatni zaczerwienił się strasznie, potem pobladł groźnie, wstał szybko i spytał okropnym głosem:

— Cóż u djabła? — Bijemy się — czy gramy?

— Gramy! — odrzekli chórem a pojednawczo partnerzy.

Wobec tego grano zgodnie dalej.

* * *

O bridge'u wspaniały, który godzisz zwaśnionych przeciwników (nawet politycznych), łączysz obcych, zaprzyjaźniasz inowierców, kojarzysz płcie... O bridge'u! — należałoby ci wyśpiewać potężny rapsod, miast kwilenia anegdot, które zresztą nieopatrznie — przed napisaniem ich — puściłem w obieg powszechny między zwolenników atutowania i impasse'u... O bridge'u, który pomagasz znosić w Polsce: wiosenne mrozy, wielkanocne obżarstwo, sanacyjną radość tworzenia, socjalistyczne nieudane strajki, rachuby rodzimego przemysłu na wojnę dalekowschodnią i endecki zapał do biernej opozycji!... O bridge'u — moście-pomoście, łączący wszystko i wszystkich pod znakiem wielkiej korony asowej lub kolorowej! O bridge'u — wybawicielu wszystkich bezrobotnych i przepracowanych, leniuchów i genjuszów, znudzonych i zrozpaczonych, kretynów i spryciarzy!... O bridge'u: należy ci się pierwsze miejsce we wspomnieniu z tegorocznej lodowatej Wielkiejnocy.

* * *

Są jednak i tacy, dla których bridge stracił swój urok. Przepiękna Julitta znienawidziła owe 52 karty, złączone w talję uściskiem tasujących palców. Znienawidziła też licytację, kontry i rekontry, ptaszki, robry i feralną trzynastkę w dłoni — jednem słowem — wogóle bridge'a.



Przed startem



Pierwsza wycieczka wczesną wiosną

— Dlaczego?

— Dla tych samych powodów, dla których postanowiłam nie flirtować! — odrzekła pani Julitta.

— ?

— Dawniej dostawałam same asy, króle, korony, sekwensy... Zdarzały się i renonsy... Teraz zaś — dostaję same młódki! Czyż nie jest to okropne? — spytała zepsuta poprzedniem powodzeniem pani Julitta.

W ten sposób wszechświat bridge'owy rozstał się z jedną ze swych wielkich gwiazd — co mówię gwiazd — planet! komet!

* * *

Czyż nie jest to wogóle zmierzch bridge'a — jeśli grany on jest dziś już nie po 50, 20 i 10 groszy, nawet nie po 5 — a po groszu — i po pół grosza? Z braku obiegowej gotówki dojdzie do $^1/_{10}$ grosza, a potem grać się będzie na guziki i wyniknie nowa rodzima forma wspaniałej angielskiej gry — polski bridge-guzik. Jeśli to nie jest dostatecznie wytworna forma, to proponuję ewentualnie grać na zapałki lub ziarnka ryżu. Bridge-ryż! to chyba jest już dostatecznie oryginalne? W braku ryżu — zastąpimy go żołędziami lub szyszkami sosnowemi. Słynny Igo z «Kącika» i inni znakomici gracze będą mieli nareszcie dobrze wypchane kieszenie!

* * *

Tymczasem mały Jędruś, który wszystkiemu dobrze się przysłuchuje, gdy mówią starsi, orzekł:



P. Aleksandra Leonowa Herbst

P. Janina Piaskowska, znakomita artystka Teatru Polskiego w Katowicach



— Ten brydż to jest zupełnie dobra gra, bo i mamusia i tatuś przestali mi przeszkadzać, kiedy bawię się — jak chcę — w innym pokoju. Ciąglę tylko sobie wymawiają, że tatuś wychodzi z gołej damy, a mamusia z pod trzeciego króla i że niema poco wyrywać się tylko z dwoma asami, a także, że za krótkie atu nie zwojuje nic. Nie rozumiem coprawda, co to wszystko wznaczy, ale bardzo jest przyjemnie, że nareszcie znowu zaczęli ze sobą trochę rozmawiać, tak jak wtedy, kiedy miałem dostać siostrzyczkę... A teraz oni chcą koniecznie zapowiedzieć małego, to znaczy chyba braciszka...

O bridge'u — wszechstronny budzicielu i reżyserze nowych form odwiecznego ludzkiego współżycia — zastępujesz nam dziś chyba wszystko: piękną wiosnę, dobre interesy, szczęśliwą miłość.

Stajesz się wszechwładny!

* * *

Przy dzieleniu się poświęconem jajkiem życzono sobie — prócz szablonowego «zdrowia i pieniędzy» — także i tak:

— Żebyś nigdy nie próbował do trzech z szóstą damą w ręku...

— A ja tobie życzę zawsze mocnego longera z pięknemi boczkami.

— A ja wam obu: niech was święty Ignacy — patron bridge'a — ma zawsze w opiece...

Potem szybko zjadano święcone — i grano — grano — grano...

Pocóż zatem ma spieszyć się wiosna, skoro nikt już jej nie pragnie?



DAMA NA... SMYCZY

Ciężki, stukonny, ośmiocylindrowy wóz! Mała, delikatna wypieszczona rączka damy — panuje w nim i czyni go powolnym każdemu jej rozkazowi.

Wytworna, delikatna rączka słabej kobiety ujarzmiła wielką, ciężką, stukonną maszynę. Ale... siła wyciągu jednego małego pieska, może z odważnej automobilistki uczynić bezwolną istotę, «uwieszoną» na smyczy.

Bardzo pocieszny obrazek: Bobuś, na naciągniętej jak struna smyczy, wyrywa naprzód i ciągnie za sobą swoją panią od... drzewa do drzewa.

Istotnie, Bobuś jest stworzeniem, żądnem władzy, panowania nad innymi. Nic dziwnego: rasa, bardzo wytworne drzewo genealogiczne! Bagatela!

Ale, jakże to się stało, że Bobuś wyrósł na tyrana, że dziś tak się znęca i «na smyczy prowadzi swoją panią?»

Gdy Bobuś, jako bardzo upragniony podarunek, znalazł się poraz pierwszy na rękach swojej pani, miał bardzo wytworny, safianowy, zielony naszyjnik i smycz. Pierwszy wspólny spacer był tragikomedją, ponieważ Bobuś nie umiał jeszcze chodzić na smyczy. Owijał się jak liszka na każdym słupie, aby się wyswodzić. Narobił tyle hałasu, że aż wywołał zbiegowisko. O, pani wówczas było bardzo nieprzyjemnie. Bobuś, z rozczłapionemi łapkami, stał, jakby wrósł w ziemię, wył, skowyczał, aż serce zżymało się z żalu. W końcu pani poddała się i wzięła Bobusia na ręce.

Następne próby spacerów z Bobusiem na smyczy miały ten sam efekt. Ale...

Przecież Bobusia trzeba jednak wyprowadzać. I tu stała się rzecz zadziwiająca. Pokojowa, skądinąd milutka i figlarna panna, nie zna się na sentymentach i nie toleruje uporu. Bobuś nie jest posłuszny, nie chce iść, z uporem osiołka przysiadł na miejscu? O, tak nie może być! A od czego jest siła? I wzięła Bobusia «krótko» w swoje rączki.



Jestem dumny, bo wiem, że jestem piękny, a to, co pewna Pani twierdzi, jakobym był jej własnością – nic a nic mię nie obchodzi...



Przyjaciele: kotka i wiewiórka

WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI

TEŚCIOWA DNIA DZISIEJSZEGO

Rozprawa naukowa

Dla bardzo wielu, ba — prawie dla wszystkich była ona do niedawna synonimem wszystkiego co najgorsze, najkomiczniejsze, a zarazem najzłośliwsze.

Nazywało ją się krótko — teściowa.

To wystarczyło.

Już sam dźwięk tego słowa wywoływał grymas niesmaku, pasji, czy niechęci. A teściowa dokładała od dawien dawna wszelkich starań, aby ta opinja o niej, broń Boże, nie uległa żadnej zmianie.

Biorąc jednak tę sprawę na trzeźwo: poco właściwie istniała teściowa?

Jedynym jej celem i zadaniem było wyszukanie dla córki odpowiedniego męża, ewentualnie dla syna — żony. Trzeba przyznać, że w obydwu wypadkach wkładała w swą misję wiele pracy i życiowej energji oraz sprytu. Jak żaden polityk, potrafiła ta, najczęściej podstarzała, zwykle monstrualnie ubrana kobieta, wszystko, co najgorsze, przedstawić w ponętnie różowem świetle.

Córka była uosobieniem urody, wdzięku, mądrości, dobrego wychowania, świetnych koligacji i t. d. Miała wreszcie majątek, którego «przecież do grobu go ze sobą nie wezmę».

I tak omotany kandydat do stanu małżeńskiego, najczęściej, ulegając elokwencji przyszłej teściowej — wpadał. Trudno, vis major.





P. Janina Martini, młodziutka i urocza gwiazdka teatru lwowskiego, odkryta przez dyrektora Horzycę. w krótkim czasie zdobyła sobie uznanie pracy i sympatję publiczności



P. Lili Zielińska, artystka Teatru Narodowego

Podobnie przedstawiała się sprawa z «synem na wydaniu».

Chociażby słynął szeroko i daleko z wyjątkowego kretyństwa, z manier kanciastych i innych, wcale niezachęcających przywarów, matka robiła z niego — anioła.

— Mój Kazio? Czy pani wie, jak on gra Chopina, a całego Słowackiego zna na pamięć, w przyszłym roku zostanie napewno referendarzem w namiestnikostwie. A żebym pani opowiedziała, jak Kazio był w Wiedniu, to wszystkie córki ministrów za nim szalały, ale ja Kazia wychowywałam po katolicku, na dobrego Polaka i jemu tam żadne wiedeńskie panny nie w głowie, co innego córeczka pani dobrodziejki...

No i rybka była najczęściej w sieci.

Dalszy ciąg był już wiadomy.

Jeśli mąż był domatorem, nie lubiał włóczyć się po knajpach i teatrach, teściowa, ze złym błyskiem w oczach, użalała się przed wszystkimi na sknerę-zięcia, który jej córce nie pozwala wyjrzeć na światło dzienne, męczy ją, tyranizuje, etc.

Jeśli mąż lubiał zabawę, w domu bywał gościem, teściowa, roniąc łzy, mówiła do córki:

— A nie ostrzegałam cię przed tym rozpustnikiem? Nie mówiłam ci, że życie ci zatruje swemi hulankami? Nie słuchałaś mnie.

Gdy zięć wracał z biura, teściowa, ten prawdziwy szatan w ludzkiej skórze, naprzód obchodziła go wkoło, obwąchiwała, niby pies zwierzynę, a przy obiedzie, lukrowanym głosikiem, rzucała tak, niby na wiatr.

— Musisz bardzo wolno iść z biura, jabym zużyła na ten kawałek drogi najwyżej 5 minut...

Po dłuższem niewidzeniu się z córką czy z synem, zamężną lub żonatym, teściowa mówiła, tuląc trzydziestoletnie pacholę do piersi:

(C. d. na str. 14)



WELL

POKAZ MODELI WIOSENNYCH U B. MYSZKOROWSKIEGO

Dawno już nie było mody tak bardzo urozmaiconej. Wiosna 1932 r. przynosi zdumiewającą mnogość odcieni, zestawień i form, mnogość uniemożliwiającą niemal wybór, budzącą nieprzezwyciężone pragnienie nabycia wszystkich modeli naraz.

Jak to dobrze, że u Boguchwała Myszkorowskiego przyjęto paryski zwyczaj chrzczenia modeli imionami dźwięcznemi i malowniczemi. Można sobie zanotować nazwy, krój i kolor, prędko, stenograficznie; a potem, po przyjściu do domu i ochłonięciu po nadmiarze wrażeń, zrekonstruować to co się widziało zapomocą notatek i pamięci i na trzeźwo dokonać wyboru.

— Na trzeźwo!!! Dobrze to powiedzieć... ale wykonać. Na samą myśl o tych kotkach kapryśnie uroczych i tak bardzo nowych, tak zupełnie odmiennych od tych, które oglądałyśmy ubiegłej wiosny, ba, jesieni, zimy — na samą myśl o tem wszystkiem mąci się w głowie.

Co tu wybrać! Na co się zdecydować!

Wszystko jest ładne, oryginalne, inne niż wszystko dotychczasowe. Wszystko jest potrzebne, niezbędne nawet.

Przydałaby się Pani «Promenada» przedpołudniowy spacerowy komplet z miękkiej wełny koloru «grège». Wysoki trójkąt spódniczki zachodzący z przodu na bluzkę jasnobłękitny jest taki charakterystyczny dla modeli 1932. A na wczesne popołudnie, na wyścigi lub proszone śniadania — strojny troispièces «Intrygantka»: pelerynka i spódniczka lekko skloszowana z czarnego jedwabiu. Bluzka z kremowego crêpe satin wszyta w szeroki pasek, nacinany w ząbki i noszony na spódniczkę. Szczegół bardzo ciekawy.

A na spacery w Aleje chciałoby się mieć taki bardzo młody, bardzo wiosenny komplecik «Piccolo» z jasnomigdałowej wełny, zapięty na zwarte szeregi złoconych guziczków.

Na użytek praktyczny, na podróż, na chodzenie po sprawunki, do pracy w domu, czy biurze (dzisiejsza Pani Wytworna pracuje) konieczny jest jeden z tych uroczych w swej wykwintnej prostocie komplecików trykotowych, zaopatrzonych w barwne bluzeczki.

— A płaszczyk! — Może ten. Z wełny leciuchnej a puszystej w najjaśniejszym odcieniu beige rosé. Nazywa się «Kastenda», ma oryginalny, pelerynkowy kołnierz, obszyty pasem lisa do ziemi. Kołnierz można zdjąć, płaszcz nabiera odrazu charakteru mniej strojnego, bardziej spacerowego.



A może „Madryt" płaszczyk oliwkowy z wiązanym jak krawat kołnierzem i oryginalnemi epoletami z agnean ros'e.

„Pokusa" przyda się w mieście, do teatru i na popołudniowe wizyty, jest granatowa, ma bufiaste rękawy z białej gipiury i oryginalnie wiązany kołnierzyk z odrobiną szmaragdowego przybrania. To na dzień niezbyt gorący.

W pełnem słońcu bardziej się będzie podobać «Mgła» koralowa w dyskretny biały rzucik. Rękawki są z drobniuchno plisowanych bufek, kołnierz-kreza okrągły, zachodzący na ramiona, też plisowany i ujęty w dość szeroki, gładki obręb.

A jaka śliczna jest ta suknia czarna z białemi brylotami spadającemi od ramion na plecy. Efektowna a dystyngowana. Nazywa się «Beduinek».

Może jednak, najwięcej praktycznej pociechy miałoby się z sukni i płaszcza komponowanych razem? Oto palto «Rywal», czarne, z fantazyjnym kołnierzem-szalem. Pod niem sukienka «Rywalka» biała w wypukły, atłasowy rzucik czarno-biały.

Lecz nęci także «Efekt», taki dystyngowany, ciemnogranatowy płaszczyk z oryginalnym kołnierzem, można je nosić z krótką pelerynką z czarnych guliac'ów albo z pelerynką-bolerem z ciemno-ponsowego sukna, no i pasek z ponsowego zamszu.

Tyle tych sukien, tylu się nie zdążyło zanotować. Mignęła jak błękitne marzenie sukienka letnia z niebieskiego jedwabiu i nie zdążyłam nawet zapisać jak się nazywała. A tu już idą tualety balowe.

«Swawolna» czarna suknia z króciutkiem pół bolerem pół fraczkiem barwy koralowo-pomidorowej. Bufiaste rękawki dają się przedłużać i skrócić dowolnie. Sześć guzików z przodu. Jesteśmy w rozkwicie Dyrektorjatu.





Nikogo już nie dziwi tualeta «Zabłąkana», żywcem przeniesiona w dzień dzisiejszy z czasów pierwszego cesarstwa. Princesse z pastelowo błękitnego crêpe romain, dziewczęca, powłoczysta, spięta pod samemi piersiami pękiem fiołków. Taką suknię mogłaby obstalować sama cesarzowa Józefina, dla swojej córki Hortensji Beauharnais na pierwszy bal dworski.

A koroną kolekcji jest niewątpliwie «Oaza» utrzymana w najczystszym stylu Myszkorowskiego wykonana z wzorzystej czarnej koronki w kwiaty czarne. Czarne i bladoróżowe. Koronkowa pelerynka rzuca dyskretną mgiełką na śmiałe nacięcia na plecach.

No dobrze, wszystko jest prześliczne. I wszystkiego jest tyle odmian. Ale co będzie najodpowiedniejsze dla mnie?! Z kim by się tu poradzić! Chyba z samym panem Boguchwałem Myszkorowskim.



N. S.

REWOLUCJA MIESZKANIOWA

W poprzednim numerze «Teatru», w związku z oceną prac utalentowanej artystki p. Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej, autor wysunął kwestję nowoczesnego urządzenia wnętrza mieszkania.

Chciałabym teraz powrócić do tego zagadnienia, najbardziej odpowiedzialnego i skomplikowanego w resorcie pani domu. Sądzę, że garść wskazówek, zaczerpniętych ze źródeł krajowych i zagranicznych, przyda się każdemu czytelnikowi, dbałemu o wygląd jego home.

Dawniej kwestja urządzenia przeciętnego mieszkania była rozwiązywana w sposób prymitywny. Mieszkania były standartowe. Wystarczyło dobrać odpowiednie tapety, rozlokować meble, pozawieszać obrazy — i mieszkanie było gotowe.

Teraz takich ściśle szablonowych mieszkań już nie budują. Znudziła się ludziom koszarowa monotonja warszawskich kamienic dochodowych. Na peryferjach miasta rosną domy niewielkie, lecz estetyczne. Każdy z nich ma nietylko odrębną fizjognomję nazewnątrz, lecz i w układzie wewnętrznym posiada właściwości indywidualne. Stąd też urządzenie takiego mieszkania wymaga dokładnego przemyślenia i poczucia smaku.

Dawne mieszkanie składało się z szeregu pokojów, zupełnie od siebie niezależnych. Jadalny pokój bywał zaludniony tylko w porze posiłków, sypialny — tylko w porze nocnej. Nowoczesne



Artysta filmowy Haines byłby bardzo ładną dekoracją... przy stole. Fot. Metro-Goldwyn-Mayer



mieszkanie zniosło te rozgraniczenia ubikacji. Dzięki rozsuwanym drzwiom, powierzchnia użyteczna mieszkania wzrasta w dwójnasób, powiększa się równocześnie ilość światła i powietrza w mieszkaniu.

Higjena w nowoczesnej architekturze pozyskała potężnego sprzymierzeńca. Mieszkania posiadają dobrą wentylację, ciemne, duszne komórki pozostały udziałem ponurej przeszłości. Rozmaite fryzy i gipsowe ozdoby sufitów i ścian były zawsze miejscem bezkarnego gromadzenia się kurzu. Dziś nietylko sufity i ściany, lecz nawet drzwi są zupełnie gładkie, polerowane. Reszty dopełnia elektryczny odkurzacz.

Każdy pokój urządzamy według obmyślanego planu. Dziś będziemy mówili o jadalni. Oczywiście, że w tym pokoju najważniejszym przedmiotem jest stół. Kiedyś stół robiono duży, który zajmował prawie cały pokój i nadawał specyficzny charakter. Nie mniej jest wygodnie kiedy jadalny, (bo nie zawsze mamy jeszcze salon i gabinet) jest urządzony tak, że w nim wygodnie i przytulnie siedzieć nie tylko przy obiedzie i kolacji. Dlatego praktyczny jest okrągły mały stolik, który rozsuwa się w miarę potrzeby, przyjmując owalną formę. Można też postawić w kilku kątach parę kwadratowych stolików, które wedle życzenia zestawia się w całość. Naturalnie, że wielkość stołu powinna zależeć od powierzchni pokoju. Tak jest przyjemnie mieć dużą salę z rozsuwanemi drzwiami. Większą część używamy dla zastawy stołu podczas przyjęć, a w mniejszej przy ośmiokątnym małym stoliku podają się przekąski i używamy go na codzień. Oba stoły mogą być z tego samego gładko politurowanego drzewa jak reszta mebli, ale robią też stoliki szklane z metalowemi nóżkami, te wyglądają ładniej, kiedy są małe. Ze wszystkich metali największem powodzeniem cieszy się nikiel, który jest najulubieńszą ozdobą barów. Bar w prywatnem mieszkaniu — to szczęśliwy wynalazek XX w. Ale żeby naszym alkoholizmem nie razić zanadto poważnych gości, urządzamy nasz bar jako zamkniętą szafę, z zewnętrznego wyglądu, której nie możnaby się domyśleć, co za przyjemne niespodzianki tkwią wewnątrz. Drzwiczki się otwierają i widzimy barwnie wymalowane wnętrze, na półkach szklanki z kolorowego szkła, butelki i karafki z likierami i niezbędne do coctail'ów srebrne mixér. W dolnej części baru znajdują się zapasy wina i według życzenia kryształy.



Do stołu sztuka nowoczesna stworzyła szereg nadzwyczajnych milieu de table z srebra i szkła. Do wazy z kwiatami wstawia się żarówki i światło elektryczne miękko spływa na cały stół, oświetlając kolorowe jedwabne obrusy. Zresztą duży obrus może zastąpić mała haftowana serwetka, albo poprostu lusterko postawione pod żardinierką pośrodku. Talerze stawia się wprost na polerowany stół, albo, żeby go nie niszczyć w zetknięciu z gorącem, na specjalne szklane albo srebrne tacki. Można także pod każde nakrycie położyć serwetkę, to już zależy od gustu gospodyni, jak zresztą całe podanie.



— Jakże mi ciebie żal, dziecino... — mówiła to, oczywiście, t. zw. «scenicznym szeptem» tak, że słychać było na dziesięć metrów.

Tak, ta teściowa, bohaterka wszystkich pism humorystycznych, prawdziwy skarb autorów fars bulwarowych, utrapienie zięciów i synowych, zeszła bezpowrotnie z horyzontu.

Nie potrafiła oprzeć się szybko wirującemu kolisku czasu. Nawet ona, wszechwładna teściowa, nolens volens, musiała zmodernizować się, przywdziać na siebie zupełnie inną szatę,

Fot. St. Brzozowski



Największem chyba powodzeniem w bieżącym sezonie teatralnym cieszy się sztuka Bernarda Schaw p. t. „Pigmaljon", grana w Teatrze Polskim w Warszawie



Wielki sukces osiągnął Teatr Mały, wystawiając doskonałą sztukę Brunona Winawera — „Poprostu Truteń"

jakże daleką od tego przykrego typu, który dostarczał tematów autorom dowcipów, drukowanych na ostatniej kolumnie dzienników.

Ta teściowa, która jeszcze po śmierci z nieba rzucała w zięcia — dachówkami — przechodzi w błyskawicznym tempie do historji.

Może się jeszcze tuła, gdzieś tam, na dalekiej, głuchej prowincji, w wielkiem mieście ustąpiła miejsca zupełnie innej teściowej.

Nowa teściowa różni się od swej poprzedniczki, niby dzień od nocy.

Przedewszystkiem nie jest nigdy stara. Nigdy, to znaczy do chwili przyjścia na świat — wnuka.

Do tej chwili współczesna teściowa trzyma się świetnie i trzeba wyjątkowo bystrego obserwatora, aby zorjentował się, że ma do czynienia z — teściową...

Teściowa dzisiejsza za punkt honoru uważa sobie wyglądać tak, jak córka, a jeśli to nawet możliwe, młodziej od niej...

Jedno jest pewne, najchętniej występuje, jako — starsza siostra córki na wydaniu. Oczywiście, taka kombinacja jest niesłychanie skomplikowana i trzeba wyjątkowej inteligencji oraz nieprzeciętnego sprytu teściowej, aby nie wyszło komiczne qui pro quo.

Teściowa przedewszystkiem kocha dancing, a ponieważ czasy dzisiejsze różnią się nieco od zmierzchłej przeszłości, w pewnym stopniu odpada kłopot z wyszukiwaniem męża dla córki, czyli t. zw. w przyszłości: «zięcia». Córka dzisiejsza męża tego znajduje sobie najczęściej sama, do pomocy matki ucieka się bardzo niechętnie, bo wie, że jak przyjdzie co do czego, to szanse matki są znacznie poważniejsze w oczach współczesnego, młodego człowieka, niż szanse córki. Matka ma najczęściej sex-appell, który u córki dopiero się wykluwa. A wszakże sex-appell, w połączeniu z pewną dozą doświadczenia życiowego, działa na mężczyzn, zwłaszcza młodych, niby mocne wino...

Dlatego córka woli, chociażby za pośrednictwem ogłoszeń, szukać sobie męża, niźli upoważniać do tego matkę.



Fot. Dorys

Igo Sym występuje gościnnie w Morskiem Oko

Część nakładu wydrukowano na bezdrzewnym papierze ilustracyjnym fabryki „LIGNOZA" Sp. Akc.



teściowa, pospołu z zięciem będzie wychylać puhar za puharem «czystą wyborową».

Żona będzie narzekać na migrenę, teściowa ją zastąpi w kinie, robiąc fachowe uwagi na temat boskiej sylwetki Marleny Dietrich i frapującej męskości Garry Cooper'a.

Żona, ani się zbudzi, gdy mąż wróci rano ze straszliwym kacenjamerem, a jeśli się zbudzi, to zrobi mu piekielną awanturę (oczywiście mężowi...), teściowa, z wrodzonym taktem kobiety wyrozumiałej, podsunie tabletkę aspiryny Bayera i do szklanki wody wleje 10 kropli amonjaku, aby «ulżyć zięciowi».

Teściowa pasjami lubi odbywać z zięciem długie raidy Daimlerem czy Packardem do Kazimierza czy Radomia na wódkę... Wogóle, teściowa dnia dzisiejszego jest najmilszą kobietą pod słońcem.

Zawsze doskonale ubrana, dobrze zrobiona, wyglądem zewnętrznym niejednokrotnie bierze o — 10 długości własną córkę. Kto wie, czy nie byłaby skłonna do bardzo daleko posuniętych świadczeń na korzyść zięcia, gdyby nie to, że w ostatniej chwili przypomina sobie, że jednak «co cóś nie wypada...»

I kapituluje, aczkolwiek bardzo niechętnie, bo przecież — Stefek jest złoty chłopak, jak on gra w tenisa, a jak pływa crawlem...

Jeśli teściowa ożeniła syna, z punktu staje się przyjaciółką i doradczynią — synowej. Udziela jej daleko posuniętych wskazówek jak się ubrać i jak zrobić twarz, jaka mieszanina perfum jest najodpowiedniejsza i który beret włożyć do sportowej maszyny.

Syn zaniedbuje synową?... Fraszka.

— Też masz się czem martwić, kochanie... Powiadam ci, wczoraj w nocy poznałam na dancingu w Adrji bardzo miłego Greka z poselstwa, coś w twoim guście. Ma dzisiaj do mnie zatelefonować. Bóstwo nie chłopak, umówię się z nim i przedstawię go tobie...

Czy to nie jest wzruszające?

Czy ta teściowa dnia dzisiejszego, ta nigdy nie starzejąca się kobieta z sex-appell'em nie jest godna słów największego uznania?

Sam mam taką i — kocham się w niej...

Pani Loda Halama, utalentowana artystka teatru Banda przyjmuje gości koniakiem Szustowa

Fot Van-Dyck

Powiedzmy jednak, że mąż wreszcie się znalazł, co w czasach dzisiejszych jest połączone z dość dużemi trudnościami, bo na jednego mężczyznę, jak wiadomo, wypada dość pokaźna ilość kobiet.

Ale — mąż się znalazł. I co dalej?

Śladu złych spojrzeń ze strony teściowej, śladu docinków, czy wręcz awantur. Teściowa dnia dzisiejszego najczęściej jest bardziej w swym zięciu zakochana, niż jego rodzona, niedoświadczona, lub zbytnio doświadczona żona.

Teściowa niewątpliwie bardziej frapująco będzie tańczyła z zięciem foxa czy rumbę, chetnie wybierze się z nim na narty do Zakopanego, gdy żona będzie tkwiła przy bridżu,



SZUSTOW: KONIAKI, WINA, WÓDKI, LIKIERY



Le Narcisse Bleu de Mury
Ta znakomita, o subtelnych zapachach woda kolońska jest wyróżniona przez wszystkie Panie



LENA RHAN

TAK W ŻYCIU BYWA...

Przeł. Janina Zawisza Krasucka

Przed trzema laty Masza po raz ostatni ukazała się na scenie. Obecnie ma już pięćdziesiąt dwa lata. Czyż wolno nie dopuszcać do ról młodych aktorek aby zapewnić byt starym? Oczywiście, że nie. Masza rozumie to doskonale, nie nalega. A jednak ta przykrość jest nie do zniesienia. Jej stary przyjaciel Konstantin, może pisać swoje powieści do śmierci, choćby nawet nikt ich nie chciał drukować. Młoda rzeźbiarka Regina modeluje jeszcze dotychczas, chociaż od kilku już lat przebywa w zakładzie dla umysłowo chorych. Co z tego, że Masza deklamuje dalej swe ulubione role, kiedy i tak nikt jej nie słucha? Pomimo to często staje przed lustrem i mówi. Czasami pieśń Solwegi, do której nie wiadomo dlaczego czuwa takie przywiązanie, innym znów razem rolę Marji Stuart. Czuje się wtedy zupełnie młoda, piękna i stęskniona. Z uwielbieniem prawie słucha własnego głosu, który drży nieco, jakby przesiąknięty łzami, głosu, w którym publiczność tak się niegdyś kochała. Z gładkiej tafli lustrzanej spogląda ku niej blada pomarszczona twarz, pozbawiona wszelkiej szminki, spoglądają ku niej oczy wyblakłe i bez wyrazu. Zdaje jej się zawsze, że ta twarz w lustrze to oblicze przeciwniczki jej Elżbiety, oblicze, którego nienawidzi, twarz kobiety, która zamknęła jej drogę do dalszego bytowania.

Nagle do drzwi pokoju puka pani Klattke.

— Ani słowa nie rozumiem z ciekawego odczytu radjowego, dzięki temu, że pani tak wrzeszczy, panno Mendes.

Masza milknie przerażona. I teraz dopiero sama siebie poznaje. Nie, ta twarz w lustrze, to nie jest twarz rywalki Elżbiety, tylko jej własne odbicie. To ona sama, Masza.

Uciekła od lustra, jak od znienawidzonego człowieka, ale w korytarzu spotyka się znowu z panią Klattke. Rozpoczyna się krótka bolesna rozmowa, podczas której pani Klattke twierdzi, że Masza powinna dziękować Bogu za to, iż koleżanki chcą jeszcze płacić za jej mieszkanie trzydzieści marek miesięcznie. Inni ludzie na ulicy się poniewierają, moja pani, a pani koleżanki z głodu umrzeć nie pozwolą.

Przemowa pani Klattke przerwana zostaje odgłosem dzwonka u drzwi wejściowych. Zjawia się Sybilla, jedyna z dawniejszych koleżanek Maszy, która jeszcze ją odwiedza. Sybilla ma przyjaciela, który dba o nią. Jest on skromnym urzędnikiem i oczywiście ożenić się z nią nie może. Przyczyną tego jest jej przeszłość, a jego przyszłość, jak zawsze twierdzi, gdy rozmowa wkracza na te tory. Sybilla z tego powodu jest bardzo nieszczęśliwa i pociesza się jedynie tem, że Masza przecież żyje jeszcze w gorszych warunkach.

— Nic dziwnego, że cię już nie chcą angażować, — mówi gdy obydwie wchodzą do niemiłego zimnego pokoju.

Pokój ten jest tak mały, że ludzie mogą go ogrzać

(C. d. na str. 19)



Czy pragnie pani być piękną? . . .

Któraż z kobiet nie pragnęłaby wyglądać młodo, być piękną i podziwianą? Chyba każda. W takim razie jednak winna przedewszystkiem dbać o staranne pielęgnowanie cery. Winna zawsze o tem pamiętać, że tylko absolutna czystość skóry zapewnia piękną cerę.

Idealnym środkiem do mycia i pielęgnowania skóry ciała jest mydło Palmolive, które poza właściwością szczególnie gruntownego usuwania wszelkiego brudu, posiada jeszcze tę niezmiernie ważną zaletę, że harmonizuje z najlepszymi kremami i płynami kosmetycznymi, — podnosząc wskutek tego ich skuteczność. Gdyż głównymi składnikami tych środków do pielęgnowania skóry są przeważnie oleje roślinne. Mydło Palmolive zaś łączy w sobie oleje owoców oliwnych, palm i orzechów kokosowych, z których jest sporządzone.

Dlatego to właśnie mydło Palmolive daje tak obfitą i szczególnie miękką pianę, która wnika głęboko w pory naskórka, rozmiękcza nagromadzone tam cząsteczki brudu i zmywa je. Należy tylko wcierać ją dwa razy dziennie przez 2 minuty łagodnie w skórę i spłukać następnie ciepłą, a potem zimną wodą. Wówczas może Pani być pewną, że skóra Jej jest zupełnie wolną od wszelkich nieczystości.

Jeżeli cera Pani jest szczególnie sucha, radzimy wieczorem po umyciu użyć nieco Cold-Creamu. Spostrzeże Pani ze zdumieniem, jakiej delikatności i świeżości nabiera Pani cera pod wpływem regularnego stosowania mydła Palmolive.

Colgate-Palmolive, Sp. z o. o., ul. Rymarska 6, Warszawa.

Obecnie 90 gr.



Prosimy żądać stale tylko prawdziwego mydła Palmolive, zwracając uwagę na jego zielone opakowanie z czarną opaską i złotym napisem Palmolive.

MYDŁO PALMOLIVE

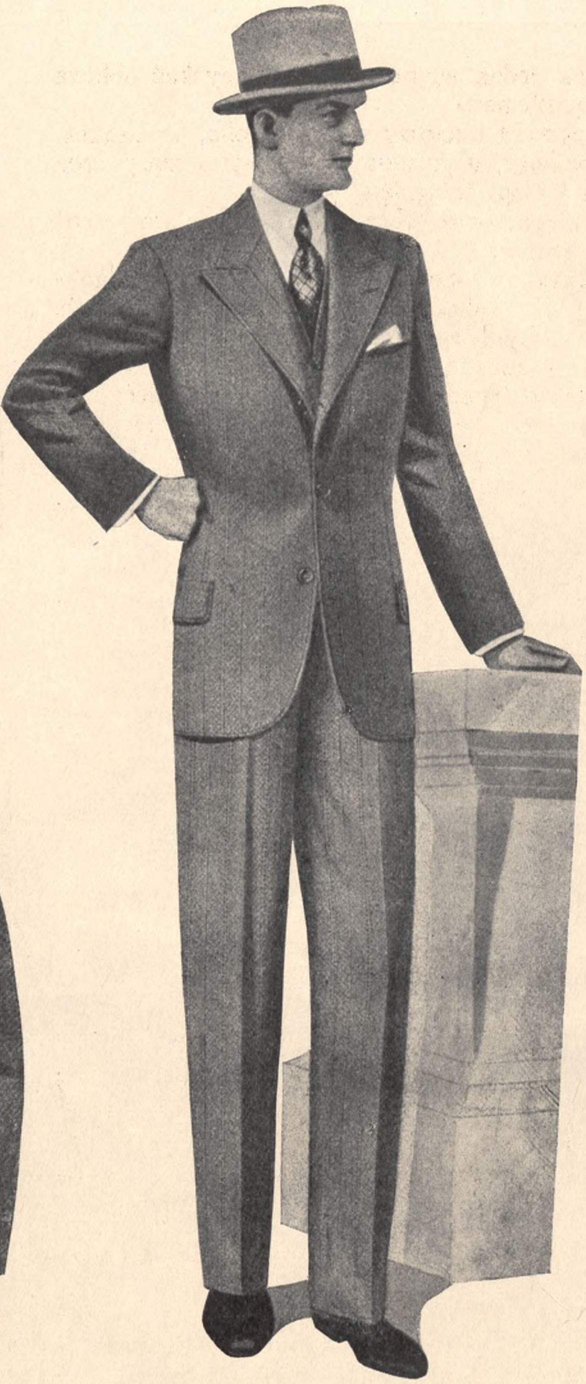
WYRABIANE W POLSCE

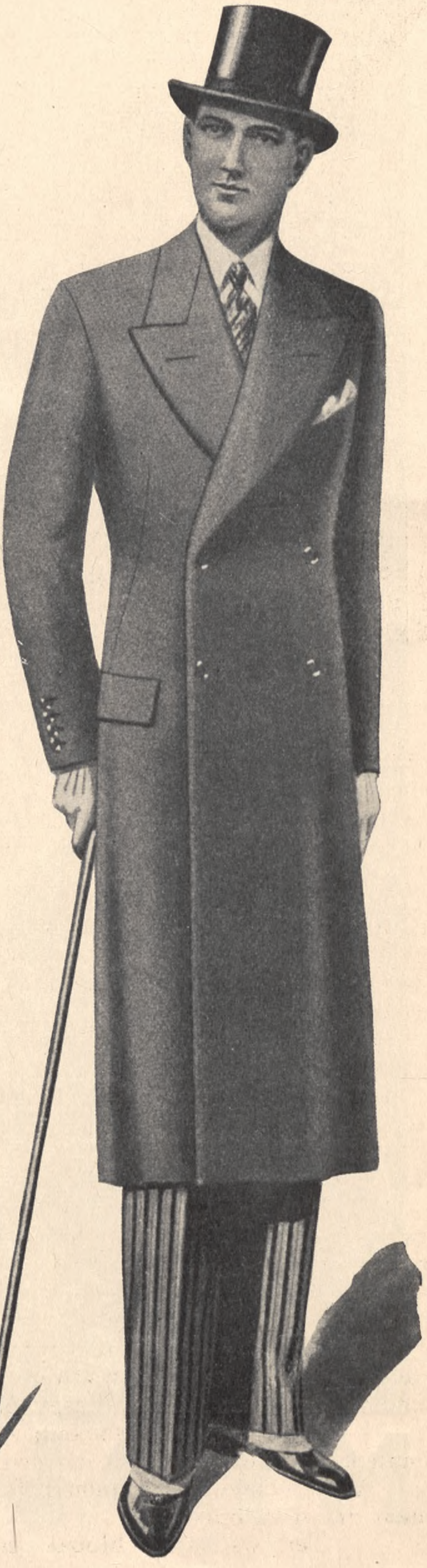
...A PANOWIE?...

W sprawach mody męskiej informuje nas p. Piotr Borkowski, szef atelier krawieckiego ‹Żórawia 17›, doradca i dostawca najwytworniejszych panów stolicy. Między jedną a drugą przymiarką, znajduje chwilkę czasu, aby podyktować naszemu współpracownikowi kilka uwag o sezonie wiosennym.

«Właściwie... nic się nie zmieniło w państwie duńskiem!







Na punkcie zmian mody mężczyzna pozostał nadal upartym konserwatystą, a jednak... Niech pan porówna kiedy fotografje panów z przed 20-tu, 10-ciu, 5-ciu lat z podobizną dzisiejszego gentlemana. Różnica jest wielka, choć w gruncie rzeczy wywołana minimalnemi zmianami. I tu właśnie mamy dowód, że drobnych szczegółów, jak rysunek klapy, długość kołnierza, rysunek mankieta, jakość i wysokość wcięcia i t.p. nie należy bynajmniej lekceważyć. Te właśnie napozór niedostrzegalne zmiany składają się na ogólną sylwetę, nadają ten czy inny charakter całej postaci, stanowią o tem, czy dany pan jest a la mode, czy też vieux jeu.

Najnowsze żurnale nie przynoszą na najbliższy sezon żadnych specjalnych rewelacyj. Pewne urozmaicenie dostrzega się w rysunkach i kolorach materjałów: na wiosnę i lato miękkie, jasne o drobnym deseniu, przeważnie «en diagonal», lecz w odcieniach tego samego koloru. W ciemniejszych barwach, jak dyskretny bronz, granat i marengo dominują białe punkciki ‹iskra›.

Piękną i miłą niespodzianką jest powrót szaro-popielatego garnituru marynarkowego ‹dwurzędówka›, lamowanego nieco ciemniejszą tasiemką ‹byle nie czarną›. Płaszcze demisaison i letnie, jak również sportowe dość długie z miękkich gładkich lub drobno deseniowanych materjałach. Pocieszającą jest tendencja do wyzwolenia się od wszelkich trenchcoat'ów i t.p. pamiątek wojennych. Chcemy bodaj w przer-



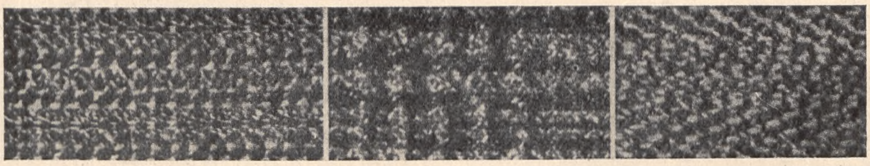
wach między... jedną wojną a drugą odzyskać oblicze prywatnego gentlemana.

Jako wygodny i celowy strój do golfa, wycieczek, auta służy podany tu garnitur sportowy o marynarce bez kołnierza i klap, ściągniętej paskiem.

Stroje wieczorowe — bez zmian. Na lato — kamizelka bez pleców.

Lansowany ostatnio we Francji smoking z granatowego welouru, o klapach i mankietach jedwabnych, noszony do czarnych spodni — nie przyjmie się z pewnością. Jedyną zmianą w dotychczasowych frakach i smokingach jest specjalnie wydłużony kołnierz, co zresztą widzi się obecnie przy zwykłych marynarkach, a nawet przy paltach. Sprawę «tortur» smokingowych latem rozstrzyga paryski mistrz Carette, radząc panom wybierającym się na południe, ubierać się do czarnych spodni w biały Eaton z cienkiego fresco i białą kamizelkę z piki, bez pleców. Larsen, Lidvall, Daric, Greco mają podobnie oryginalne pomysły... Co do mnie, kończy z uśmiechem mistrz Borkowski, — nie namawiam do żadnych ekstrawagancyj. Do czasu jakiegoś zasadniczego przewrotu w modzie męskiej, nośmy szaty szablonowe, byle dobrze skrojone i uszyte, b y l e z d o b r y c h, odpowiednio a u m i e j ę t n i e dobranych materjałów».





TAK W ŻYCIU BYWA... (ciąg dalszy)

własnym oddechem, twierdzi pani Klattke, gdy Masza narzeka, że nie napalone. Masza i Sybilla okrywają się kołdrą i do spóki wypalają ostatniego papierosa Maszy.

Sybilla wzdycha głośno.

— Tak, wiele nigdy nie mogłaś dokazać, a piękna też nigdy nie byłaś, tylko posiadałaś duży wdzięk. Wiesz, gdybyś jeszcze dzisiaj zręcznie się umalowała, nie byłabyś wcale tak brzydka. Jestem pewna, że otrzymałabyś jakieś skromne engagement, a w najgorszym razie znalazłabyś sobie jakiegoś przyjaciela.

Przed rokiem Masza wyrzuciła tę miłą przyjaciółkę z mieszkania, dzisiaj jednak wdzięczna jest Sybilli, że ją od czasu odwiedza. Sybilla ma słuszność. W teatrze kobiety przyzwyczajają się do szminki tak samo, jak do codziennej filiżanki kawy. Gdy aktorka kiedykolwiek jest nie w humorze, zawsze szminką maskuje wyraz swej twarzy. Podkreśla się ołówkiem brwi, przyciemnia się powieki czernidłem i oczy tracą wyraz nieprzyjemnej troski. Żeby tak na serce można trochę szminki nałożyć!

Po wyjściu Sybilli najstarszy syn pani Klattke, znany Championem, z powodu różnych swych wyczynów pływackich i atletycznych, wsuwa swą wielką głowę przez uchylone drzwi i podaje Maszy paczkę.

— Przydałaby się szminka,—szepce Masza z utęsknieniem, wypowiadając głośno swe myśli.

W tej chwili Champion cofa się i z głośnym śmiechem drzwi zatrzaskuje.

— Ten wstrętny chłopak nigdy nie uwierzył, — myśli Masza, — że poza pragnieniem chleba można mieć jeszcze pragnienie perfum, czy szminki, pod wpływem której twarz ludzka tak się zmienia.

O tęsknocie tej Masza zapomniała jednak nazajutrz, gdy po długiej wędrówce w bezskutecznem poszukiwaniu engagement, wróciła do domu i na stole znalazła dwa listy. Wzięła do rąk jedną z kopert i nagle uczuła dziwne ogarniające ją ciepło, które chyba nie pochodziło z tego, że pani Klattke napaliła trochę w piecu, będąc dzisiaj w wyjątkowo dobrym humorze. Z listem w ręku Masza podbiegła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Odczytując duże wyraźne litery adresu, przypomniała sobie nagle tyle różnych rzeczy, o których przecież już dawno zapomniała. Upojnie brzmi tango Manuela, dokoła oszałamiająca woń jaśminu, w dali na ścianie majaczy obrazek Madonny, zawieszonej nad łóżkiem, a tuż w pobliżu ta dobra, spokojna twarz, która powoli znika, może dlatego, że w pokoju staje się coraz ciemniej, a może dlatego, że się nagle przymknęło oczy. Czerwonozłocisty las podczas jesieni, tchnący zapachem lakieru i farby, czerwonozłocisty las z papiermache, w dali skrawek kulisy, dekoracja, na tle której Masza po raz pierwszy grała z Oliverem. Oliver nie był pierwszym mężczyzną w życiu Maszy, ale miłość ta trwała długo, choć nie można powiedzieć również, że Oliver był ostatnim. Gdy odszedł, zjawił się dobroduszny gruby Joe, którego można było kupić za kawałek smacznej leguminy i którego pocałunki były takie przyjemne prawdopodobnie tylko dlatego, że były całkiem inne, niż pocałunki Olivera. A potem przyszła kolej na

tancerza Kai, którego trzeba było kochać, pewno dlatego, że był ogromnie podobny do Olivera. Jednak wszystko, co nastąpiło po Oliverze, było bezbarwne, obce, było niejako powtórzeniem samego Olivera, albo tylko pragnieniem tego powtórzenia. Masza po Oliverze miała wielu kochanków, lecz żadnego z nich nie kochała.

Rozerwała kopertę, z której wypadła duża fotografja i mały skrawek zapisanego papieru. Nie pisał, co się z nim działo, dlaczego tak długo nie wracał i dlaczego zamierzał właśnie wrócić teraz.... Nie pisał nawet, czy ma zamiar zostać na zawsze. Pisał tylko, że przyjeżdża. U Olivera mogło to oznaczać bardzo wiele, lecz jednocześnie mogło nie posiadać żadnego znaczenia. Masza nagle zaczęła nucić jakąś melodję, jakiś głupi zapamiętany szlagier, który przed laty śpiewała mała murzynka w jednym z londyńskich barów. „Ujrzałam go poraz pierwszy, lecz nigdy go już nie zapomnę"....

Masza śpiewa dalej, chociaż pani Klattke wymownie stuka pięścią w ścianę. Potem podbiega do szafy, wyjmuje z niej jedyną suknię, którą zachowała jeszcze z dawnej swej scenicznej garderoby. Jest to długa suknia z marszczonemi rękawami, ozdobiona koronką taką właśnie, jak teraz noszą. Stary zimowy płaszcz będzie nieco za krótki, ale może Champion pożyczy jej swego płaszcza. Czytając list po raz trzeci, Masza nagle dostrzega zdanie, którego przedtem wcale nie zauważyła: „Czyś się bardzo zmieniła?".

Boże, że też przez pięć minut można było o tem zupełnie zapomnieć! Nagle poczuła pewną nienawiść do fotografji, którą jej załączył, która prawdopodobnie jest jednem z ostatnich jego zdjęć. Ten człowiek tak samo wygląda, jak przed laty. Twarz jest tak samo szczupła i wyrazista, tylko pod oczami widnieje kilka drobnych zmarszczek, ale te dodają mu jeszcze uroku. Tak samo, jak dawniej chusteczka w kieszonce marynarki sterczy kokieteryjnie, wysunięta może o centymetr za daleko, tak samo bieli się przedział na środku głowy.

Masza zdejmuje ze ściany lusterko i przegląda się. Poprostu niemożliwością jest stanąć obok tego młodego wytwornego mężczyzny. Dzisiaj jest jeszcze bledsza, niż zazwyczaj. Mimowoli myśli o tym dniu, kiedy może tak samo brzydko wyglądała. Było to owego dnia, kiedy Oliver oświadczył, że otrzymał engagement do Ameryki, i że musi tam sam wyjechać.

— Proszę cię, nie płacz, — zawołał niecierpliwie i nerwowym, zupełnie niezwykłym ruchem wsunął chusteczkę głębiej do kieszeni. — Nie płacz. Wiesz przecież, że nie znoszę brzydkich kobiet. A jak zachowam o tobie wspomnienie takie, w tej chwili, gotów jestem nigdy nie wrócić.

— Tak mu się pokazać nie mogę, — myśli Masza, — chociaż na ten jeden wieczór trzeba się zrobić na ładną. Wieczór ten nie przeciągnie się do rana, bo wyjdę wcześniej, żeby nie mógł ujrzeć mnie w świetle dziennem.

Masza wyjmuje z szuflady kopertę z pieniędzmi, przeznaczonemi na zapłacenie mieszkania i zabiera się do wyjścia. Ale w korytarzu, jakby na złość spotyka Championa:

— Chciała pani komorne zapłacić, panno Mandes?

— Nie, — szepcze Masza zalękniona. — Chciałam sobie coś kupić, coś, co mi jest potrzebne koniecznie na jutro rano i od czego bardzo wiele zależy, — powtarza bezradnie, podczas gdy Champion woła swym energicznym, donośnym głosem:

— Mamo, mamo!

Zjawiła się pani Klattke i wkrótce przekonywuje Maszę, że pieniądze, znajdujące się w kopercie bezwarunkowo do niej należą. Masza nie ma już czasu zdjąć z siebie

swej długiej sukni, więc narzuca tylko na nią swój krótki płaszcz zimowy i biegnie do Sybilli. Sybilla niecierpliwie przyjmuje ją w przedpokoju. Za chwilę ma przyjść Otto, który podobno coś wreszcie postanowił. Dla Sybilli ma się rozpocząć nowe życie. Zupełnie zrozumiałe, że nie czas teraz na takie wizyty jak wizyta Maszy, szczególnie, że przyszła prosić o pożyczkę.

Masza nie prosi jeszcze, ale ma zamiar uczynić wszystko, aby tylko móc przyjąć Oliwera aby pokazać się taką, jaką ją sobie wyobraża. Schodząc po schodach, obserwuje swe odbicie w lustrze i przychodzi jej na myśl, że Oliver napewno jeszcze do dzisiaj używa tej samej pachnącej wody do włosów i tych samych perfum, które tchną wonią jaśminu.

Masza biegnie na Plac Karola, do teatru, gdzie występuje koleżanka jej Lucy, która jeszcze przed kilku dniami przysłała jej paczkę prowiantów.

— Tak, rozumiem cię, moja droga, ale nie mogę ci dać gotówki, bo sama mam dużo wydatków.

Na prośbę Maszy, żeby jej pożyczyła trochę szminki, Lucy odpowiada niecierpliwie:

— Ależ, moja droga, nie masz czem zapłacić komornego, a myślisz o szmince!

Inspicjent wsunął głowę przez drzwi. Lucy w pośpiechu nałożyła jeszcze trochę różu na twarz i nerwowo poczęła powtarzać pierwsze słowa roli. Podniosła się z krzesła i energicznym ruchem wypchnęła Maszę za drzwi.

— Muszę wyjść na scenę, bądź zdrowa!

Bocznemi drzwiami wyszła Masza na ulicę. Przeciw teatru połyskiwała świetlna reklama na fasadzie wysokiej kamienicy.

— Każda kobieta może być piękna! Piękność, to życie! Piękność, to powodzenie! Piękność zdobywa serce! Piękność popłaca! Dlatego też kupujcie wszystkie pierwszorzędne wyroby naszej firmy!

Masza czuje, że coś zimnego dławi ją w krtani. Nie płacz, Masza, wiesz, że nie znoszę brzydkich kobiet...

Przechodzi przez most wolnym krokiem, przystaje i pochyla się nad balustradą. Tam w dole odbija się księżyc złocistą tarczą w spokojnej tafli wody. Gdy wiatr porusza falami, tarcza księżyca wiruje niespokojnie. Masza podnosi kamień i rzuca go prosto w twarz uśmiechniętemu księżycowi. Twarz krzywi sie przez chwilę, wiruje na fali i staje się znowu obojętna. Tak samo byłoby, gdyby Masza skoczyła do wody. Unosi się na palcach i przechyla się jeszcze mocniej przez barjerę. Ale nagle uczuwa dziwny lęk, taki sam lęk uczuwała niegdyś, grając ową scenę śmierci w „Zamku Wetterstein".

— Dzisiaj umierałaś naprawdę, — mówił wówczas Oliver z odcieniem ironji. Tak, umierała naprawdę i martwa była przez kilka sekund nawet w chwilę po upuszczeniu zasłony. Wspomnienie to jest tak mocne, że trudno je odegnać z pamięci.

Jeszcze nigdy w życiu Masza nie lękała się tak śmierci, jak w tej chwili. Trudno jest rozstać się z tym światem, tak samo, jak trudno się rozstać z ukochanym.

Masza zeskakuje z balustrady i zaczyna biec przed siebie, wreszcie na jakiejś szerokiej ulicy przystaje. Tuż przed nią widnieje wystawa perfumerji. Masza wchodzi. W sklepie znajduje się tylko sprzedawczyni, młoda ruda· wa dziewczyna, o dużych oczach. Szukając na półkach żą-

danych przez Maszę perfum, sprzedawczyni nuci półgłosem:

— Pragnę być piękna tylko dla ciebie...

Szuka długo owych perfum bez specjalnego pośpiechu i wreszcie wychodzi do przyległogo pokoju, aby tam poszukać.

Masza zostaje sama w sklepie. Zdecydowanym ruchem sięga po pudełko pudru po słoiczek różu i po karmin do warg. Bez pośpiechu chowa do torebki i woła niechętnym głosem:

— Nie mam czasu, panienko, niech się pani pośpieszy!

Rudawa dziewczyna nie może znaleźć żądanych perfum, może mogłaby służyć czemś innem? Nie dziękuję, mówi Masza obojętnie i wychodzi ze sklepu.

Pewnym krokiem wchodzi do wielkiego domu towarowego i windą udaje się na górę do działu perfum.

— Chciałam prosić o najlepszy jaśmin, — zwraca się do sprzedawczyni, — cena nie odgrywa roli.

Sprzedawczyni odwraca się do szafy, a Masza tymczasem spaceruje po sklepie. Korzystając z nieuwagi sklepowej, chwyta ze stołu słoiczek tuszu i paczuszkę farby do włosów. Couleur de soleil, widnieje napis na pudełku. Młody mężczyzna z odstającemi uszami i przymrużonemi oczami, staje nagle przy niej. Może dostrzegł, jak chowała tusz do torebki.

— Macie państwo niezbyt wielki wybór, — mówi Masza do sprzedawczyni, gdy ta podaje jej próbny flakonik perfum. Potem obojętnnym krokiem schodzi nadół. Na schodach staje oko w oko z wysoką damą w wspaniałem nurkowem futrze. Masza zatrzymuje się na chwilę, na twarzy jej maluje się przerażenie, wyraźnie czuje, że się rumieni.

Dama w futrze spogląda na nią ze zdziwieniem. Masza wolno idzie dalej, a potem nagle zaczyna biec. Przed drzwiami windy brutalnym ruchem usuwa na bok damę w futrze, wskakuje do windy i nagle orjentuje się, że zamiast nadół, jedzie wgórę. Jeszcze nigdy w życiu winda tak wolno się nie poruszała. Przychodzi jej na myśl, że człowiek mający kradzież na sumieniu, niemógłby śpiewać. Dlatego też ostatnim wysiłkiem woli, odbywa z siebie głos i poczyna nucić:

— Po raz pierwszy cię ujrzałam i zapomnieć już nie mogę...

— Pragnę być piękna tylko dla ciebie... — tę melodję śpiewała sprzedawczyni.

Nareszcie winda staje na górze, teraz trzeba zjechać nadół, ta krótka podróż trwa wieki całe. Prędko pobiegnie





do domu, umaluje się i będzie już gotowa na przyjęcie Olivera. Przy świetle wieczornem nie widać zmarszczek, które wyryły troski pięcioletnie, nie widać cierpień, których powodem jest tęsknota...

Winda przystaje na dole. Hallo, Oliver, zawołała zupełnie swobodnie tak samo, jak dawniej, gdy się witali na próbach. Tylko nie okazać, że się w tęsknocie czekało. Hallo, Oliver, powtarza w myślach i uśmiecha się.

— Hallo! — odpowiada ktoś dźwięcznym donośnym głosem.

Masza odwraca się i dostrzega, że dama w nurkowem futrze stoi za nią.

— Proszę za mną, — mówi nieznajoma i pokazuje Maszy błyszczący znaczek ukryty pod klapą palta.

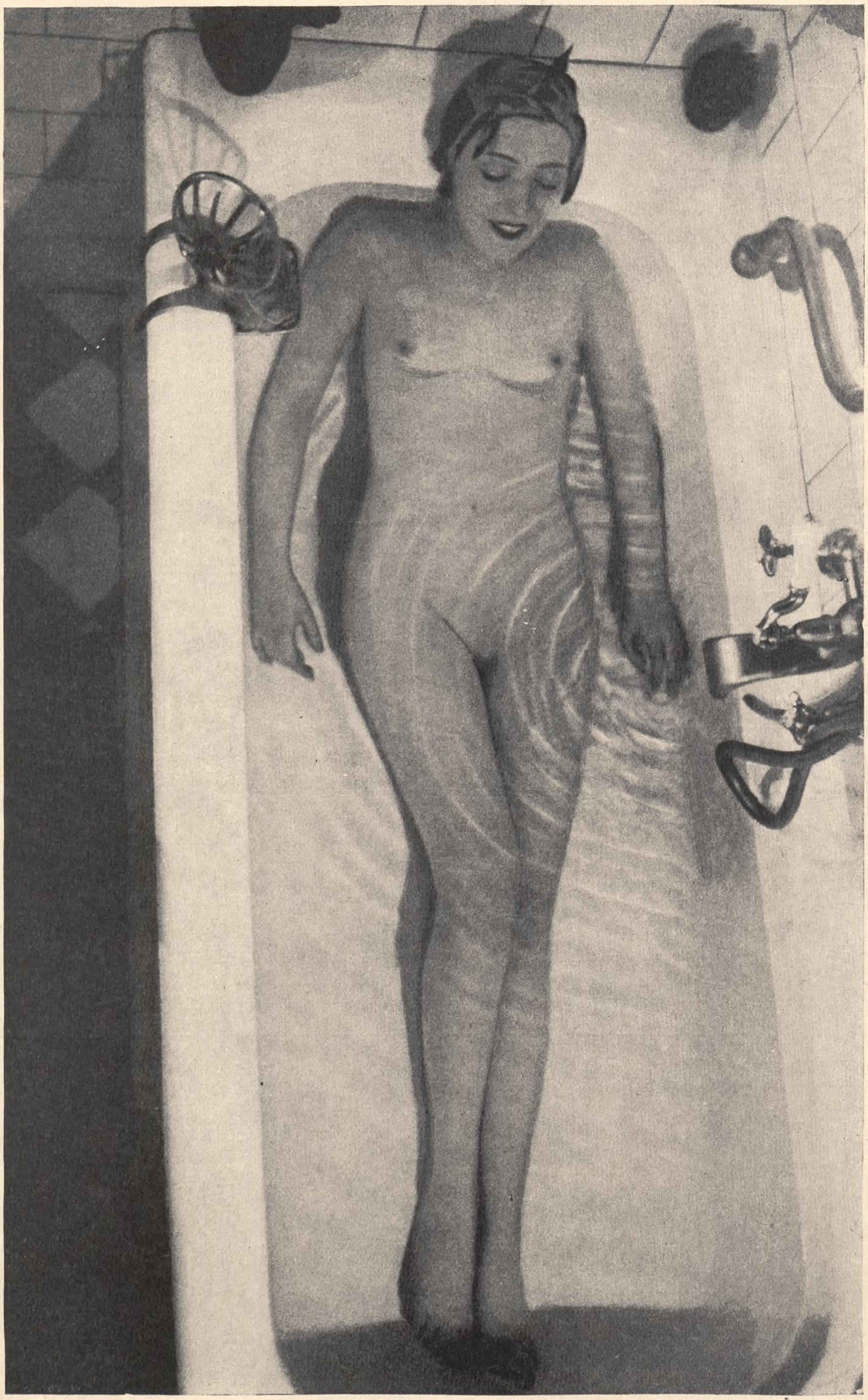
Masza pozostaje najprzód w więzieniu śledczem. Ponieważ śledztwo się przedłuża, bo właśnie policja poszukuje sławnej szopenfeldziarki, Sybilla pisze do Olivera obszerny list i załącza fotografję Maszy z przed dziesięciu lat. Masza dopisuje od siebie kilka słów, myśląc jednocześnie, że dobrze byłoby móc powiedzieć Oliverowi całą prawdę. Odgania jednak niesforne myśli i pisze, że właśnie otrzymała kilka propozycyj filmowych, dzięki czemu nie będzie się mogła z Oliverem zobaczyć. Może kiedyś, później...

W małym hoteliku na wąskiej uliczce skromnie ubrany pan codziennie informuje się w loży portjera. Resztek dawniej elegancji dopełnia niezupełnie czysta jedwabna chusteczka, nieco przesadnie wysunięta z kieszeni marynarki. Jegomość codziennie zagląda do loży, aby zapytać o listy. Pyta o listy, mając na myśli właściwie jeden list. Trzeciego dnia wreszcie wręczają mu ów list upragniony. Gdy pośpiesznie rozrywa kopertę, wypada z niej fotografja, nieopatrzona żadną datą. Bezwątpienia jest to fotografja ostatnia, szepcze do siebie jegomość i długo ogląda zdjęcie. Żywe oczy młodej jeszcze kobiety spoglądają nań czule z przekornym uśmiechem. Jakże się biedaczka rozczaruje, gdy ujrzy go dzisiaj zmienionym do tego stopnia. Życie płynie wolno i pokrywa twarze ludzkie zmarszczkami starości...

— Szkoda, — szepcze mężczyzna, ocierając czoło przybrudzoną jedwabną chusteczką, — szkoda, że i ty się trochę nie zestarzałaś...

Gdy do pokoju na górze wszedł numerowy, ujrzał łysego jegomościa, klęczącego nad zapakowaną już walizą. Jegomość trzymał w ręce fotografję i czarnym ołówkiem kreślił zmarszczki na uśmiechniętej twarzy młodej przystojnej kobiety.

K O N I E C.



Dopóki nie można chodzić na plażę...

Redaktor: IGNACY KOŁŁUPAJŁO. Wydawca: „AGA" Sp. z o. o.
Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN.

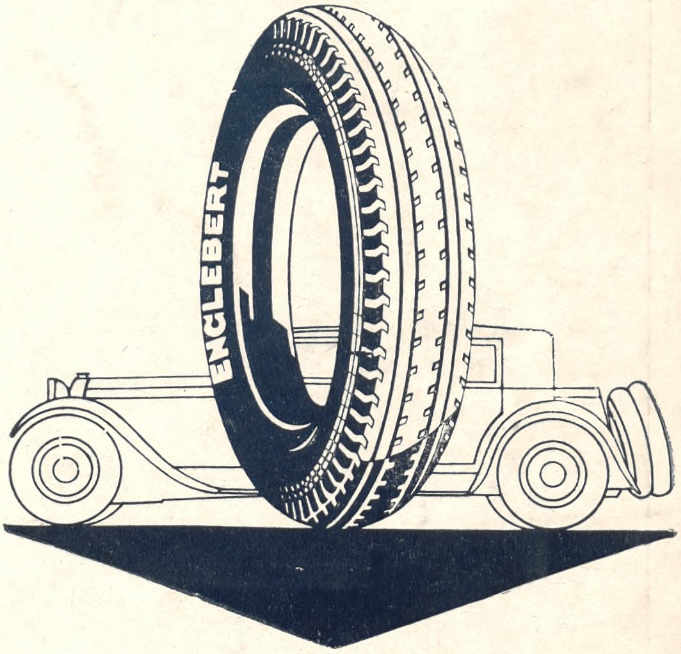
Redakcja i Administracja: ul. Berezyńska 20. Konto P. K. O. 16190.

Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

WYTWORNY SAMOCHÓD NA PNEUMATYKACH

MARKI

Englebert



TO IDEAŁ

KAŻDEGO Z NAS!

CZY SAMOCHÓD PANA WZGLĘDNIE PANI ZOSTAŁ JUŻ ZAOPATRZONY NA WIOSENNE WYCIECZKI W TE PNEUMATYKI?

Englebert

POL. SP. AKC. WYR. GUM.

WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. Nr. 5



Szereg lat wytężonej a celowej pracy Laboratorjum „Perfection" sprawiły, że wyroby „Perfection", a specjalnie „Krem Prałat" i „Abarid" mają wielkie wzięcie wśród szerokich sfer naszej publiczności. Do wybielenia zębów polecamy specjalnie wybielający proszek ALBOL i pastę PHILODONT

Fot. St. Brzozowski

KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61

Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. FRANASZEK, Warszawa.